

Źródła zdrady polskości i źródła nadziei

Jak i dlaczego rodziło się poczucie fatalizmu

Prof. Andrzej Nowak

Powiem tu o samej istocie zdrady, która ujawniała się w XVII w. i z której kolejnymi wcieleniami mamy do czynienia do dnia dzisiejszego. Ale nawiążę także do źródeł nadziei, które są nam dzisiaj najbardziej potrzebne.

W swoich wykładach z literatury słowiańskiej Adam Mickiewicz dał taką oto definicję zdrady: „zdradzić to jest opuścić ideę trudną do zrealizowania, to porzucić żmudny obowiązek dla korzyści namacalnych, widocznych i łatwo uchwytanych. Zdradcy zapierają się wiary ojczystej, przeszłości ojczystej, usiłują oczernić dzieje, obyczajają Polskę, znisławiać charakter narodowy, ażeby tylko uniknąć prześladowania niszczącego tych, co służą idei polskiej, ażeby pozyskać łaski ciemiężców”. Nasz wieszcz mógłby te słowa napisać równie dobrze w 2024 roku i nic by one nie straciły na aktualności...

Prosta definicja Adama Mickiewicza nie wyczerpuje na pewno całego „bogactwa” odcieni zdrady, ale na pewno oddaje te doświadczenia zdrady z czasów, w których żył wieszcz, oraz okresu wcześniejszego, wieku XVIII. Ale słowa te tyczą się również doświadczenia, które stało się udziałem dużej części elit Rzeczypospolitej już w połowie wieku XVII – czym zajmuję się w szóstym tomie „Dziejów Polski” – kiedy dwie fale potopu nasunęły się od wschodu i zachodu. Ta wschodnia, kozacko-moskiewska, zajęła więcej niż połowę Rzeczypospolitej – aż po Lublin, Grodno, tereny dzisiejszego Podlasia. Druga fala, szwedzka, napłynęła od zachodu i od północy i przelała się aż do granic południowych Rzeczypospolitej.

Z całego kraju niezajęte przez okupantów zostają tylko cztery punkty na mapie: Jasna Góra, Lwów, Zamość i Gdańsk. Dlaczego cała reszta została tak szybko opanowana? Bo w zachodniej części nie było już woli obrony Rzeczypospolitej. Była natomiast wola zdrady. Najbardziej smutnym jej przejawem, przykładem najbardziej zawstydzającym, była kapitulacja Wielkopolan pod Ujściem w lipcu 1655 r. – w miejscu świetnie nadającym się do

obrony – przed wojskami szwedzkimi, liczebnie słabszymi od wielkopolskiego pospolitego ruszenia. Co było powodem tej kapitulacji? Czy tylko chęć uniknięcia prześladowań niszczących tych, co służą idei polskiej?

Tchórzostwo było na pewno pierwszym, bardzo ważnym motywem zdrady. Po co się bić, skoro możemy podnieść ręce do góry i poddać się przeciwnikowi, z którym nie wiadomo, czy wygramy? Ale był też motyw inny, który ważny jest w naszej historii po dzień dzisiejszy. Otóż przywódca Wielkopolski, magnaci na czele z wojewodą poznańskim Krzysztofem Opalińskim, uważali, że własny król, legalnie wybrany przez obywateli, własny rząd jest większym wrogiem niż ktokolwiek, kto przychodzi z zewnątrz. Lepiej niech będzie to Szwed, byle zwalczyć nasz rząd, bo on jest największym zagrożeniem dla nas, dla naszej magnackiej wolności, swobody, dla bycia „urodzonymi panami Polski”... Nikt nie zastanawiał się nad tym, że po opanowaniu kraju przez wroga panami Polski będzie jednak już nie polska szlachta, że obecni jej właściciele spadną do roli sług i wyrobników. Obok tchórzostwa była to przyczyna druga – wskazanie jako wroga we własnym rządzie prawidłowo, legalnie wybranego króla Jana Kazimierza, przeciwko któremu sprzymierzono się z zewnętrznym najezdźcą Polski. Ta postawa będzie się powtarzała po wielokroć.

Nie wszyscy zdają sobie sprawę z ogromu strat wynikłych z takiej postawy. W wyniku straszliwych zniszczeń, jakich doświadczyliśmy w czasach potopu moskiewsko-szwedzko-brandenbursko-siedmiogrodzko-kozackiego, Rzeczypospolita doznała szkód większych niż w czasie I i II wojny światowej razem wziętych. Zginęło więcej ludzi i większe były zniszczenia materialne. Wielki kraj dotknęła klęska nie do wyobrażenia – 1/3 ludności zginęła, została



Michał Korybut Wiśniowiecki – tu na portrecie nieznanego artysty – doświadczył goryczy zdrady ze strony tych poddanych, którzy zamierzali Rzeczypospolitą całkowicie podporządkować Francji. Fot. Wikimedia

wywieziona lub zmarła wskutek chorób. Każde miasto i miasteczko, z wyjątkiem tych czterech punktów, które wymieniłem wcześniej, zostało obrócone w perzynę. Po takim doświadczeniu, że nie umieliśmy skutecznie obronić swojego kraju, a potem nie umieliśmy odwojować całego terytorium, przyszło zwątpienie we własne siły – trzeci bardzo ważny element w rozumieniu zjawiska zdrady. Czujemy się za słabi, a wtedy pojawia się właśnie to, co opisał Mickiewicz – zapieramy się wiary ojczystej, przeszłości ojczystej, usiłujemy oczernić dzieje, obyczajają Polskę,



Św. Jan Paweł II gorąco wspierał „Solidarność” słowem i czynem od samego jej powstania. Z jej środowiskami spotykał się na całym świecie, tak jak tu w Nowej Zelandii 22 listopada 1986 r. w trakcie pielgrzymki apostołskiej do Azji i Oceanii. Fot. Arturo Mari

zniesławic charakter narodowy. Usprawiedliwić, uzasadnić swoje odstępowanie, swoją małoduszność.

Na progu lat siedemdziesiątych XVII wieku zjawisko to pojawiło się po raz pierwszy z tak wielką siłą w ramach tworzącej się wtedy znowu opozycji (tzw. partii francuskiej) przeciwko nowemu królowi, legalnie, powszechnie wybranemu podczas elekcji Michałowi Korybutowi Wiśniowieckiemu (1640–1673). Pojawiają się wówczas dramatyczne słowa, przejawy zdrady własnej wspólnoty, które wydają nam się dziwnie znajome. W liście starosty radomskiego Piotra Kochanowskiego do ambasadora francuskiego w Warszawie z roku 1672 czytamy: „my decydujemy się nie tylko na przymierze z Francją, ale na (...) wcielenie (*incorporationem*) Królestwa Polskiego do Królestwa Francuskiego; niech tylko Jego Najjaśn. Arcy-Chrześcijańska Mość [czyli Ludwik XIV] raczy przyjąć rządy tak rozległego królestwa, albo sam bezpośrednio (*per se*), albo przez vice-króla. Przeklinamy niepotrzebne (*superfluas*) prawa nasze, znosimy szkodliwe zwyczaje. Chcemy żyć w ojczyźnie naszej podług wolności francuskiej. Oto, cośmy z przyjaciółmi zbadali, pomiędzy sobą ułożyli i postanowili i za dobre uznali”. A więc: wyrzekamy się naszych zwy-

czajów, tradycji, praw, kultury. Chcemy być poddanyymi władcy z Zachodu. Niech przyśle tutaj najjaśniejszy król francuski jakiegoś gubernatora, niech wcieli ten nieszczęśny kraj do Francji, bo my już nie chcemy Rzeczypospolitej, ona jest zła.

Nie do uwierzenia, że słowa te padły już w 1672 r. To jest bowiem postawa, którą znamy szerzej z następnych wieków: zniechęcenia, poczucia, że Rzeczpospolita jest za słaba, że nie dźwignie się sama. A skoro się nie dźwignie, to lepiej niech już będzie tutaj porządek zewnętrzny, niech ktoś przyjdzie i nas urządzi, bo my sami nie potrafimy. Zwątpienie w Rzeczpospolitą, w Polskę, w jej kulturę i tradycję, powtarza się w następnych odsłonach dziejowych, kiedy Polska przeżywa trudne chwile po następnym najeździe szwedzko-moskiewskim, w czasie tzw. wojny północnej na progu XVIII w. Rosyjscy ambasadorowie zaczynają już wtedy na co dzień dyktować warunki życia politycznego w Polsce. Wtedy nasila się przekonanie, że jedynym realizmem dla nas jest poddać się Rosji.

Można było oczywiście zakładać, że owa partia francuska (należał do niej Jan Sobieski; zanim wybrany został królem, był niezłym warchołem) chciała dobrze, wszak dużo waż-

nych, cennych wynalazków z Francji pochodzi i do nas mogło zostać zaimportowanych. Ale Francja nam jednak nie pomogła w wieku XVII, ani XVIII, bo była za daleko. Wobec tego właśnie rodziła się podobna myśl, nazwana „realistyczną”: poddajmy się Rosji, bo ona jest blisko, a i tak decyduje tutaj o wszystkim. Tak utrzymywało się poczucie fatalizmu, że możemy co najwyżej wybierać, czy się poddać tym ze wschodu, czy tym z zachodu (tu zamiast Francji mogą być Habsburgowie, Prusy, w końcu Niemcy), że sami nie potrafimy odzyskać ani udźwignąć suwerenności, co więcej – nie jesteśmy jej warci.

Również w przypadku nie tak dawnego stanu wojennego klęska była nie tylko kwestią materialnego osłabienia Rzeczypospolitej, wskutek czego niczego po 1981 r. nie zbudowano; reżim Jaruzelskiego ugruntował tylko zapas gospodarczą. Oddanie się raz jeszcze w poddaństwo Moskwie, przy pomocy własnych, formalnie polskich formacji ZOMO, ORMÓ, MO oraz (L)WP – przyczyniło się także do duchowego złamania Polaków po chwili rzeczywistego odrodzenia, między 1976 czy 1978 rokiem a grudniem 1981.

Przytoczę tu słowa, które przywoływano już wielokrotnie, chociaż może jednak nazbyt rzadko i zbyt niekonsekwentnie zastanawiając się nad ich wymową i autorstwem – to słowa o polskości jako nienormalności, napisane przez Donalda Tuska, absolwenta historii z Gdańska, opublikowane jesienią 1987 roku w miesięczniku „Znak”. Pismo to już wtedy zachęcało niejedną publikacją do takiej właśnie postawy: że sami nic nie możemy, że polskość to nienormalność, że ten „ludowy” katolicyzm, cała polska tradycja nic albo niewiele jest warta, że trzeba je dopiero zmodernizować wzorami z Francji czy skądkolwiek, byle wyjść z polskiego „grajdołka”. Warszawska „Więź” (bratnia redakcja) wyrażała geopolityczne konsekwencje takiej postawy: artykułami Tadeusza Mazowieckiego i Andrzeja Wielowieyskiego już na progu lat 1960. sławiła poddanie się Moskwie jako jedyną szansę na „normalność”.

Kiedy został wprowadzony stan wojenny, reprezentant pokolenia „Solidarności” Donald Tusk był 24-letnim człowiekiem. Przeżywał, jak całe moje pokolenie – jestem od niego tylko trzy lata młodszym – to niezwykle podniesienie się, jakiego doświadczyliśmy między październikiem roku 1978, kiedy Polak został wybrany na papieża, a grudniem roku 1981, kiedy wprowadzony został stan wojenny i zduszone zostały te ogromne nadzieje, te liczą-

ne wzloty naszych oczekiwań, to poczucie fenomenalności zjawiska, jakim była „Solidarność”. To wszystko zostało stłamszone, zniszczone znowu przekonaniem, że nie potrafimy sobie poradzić z molochem wschodnim, choć tyle razy próbowaliśmy. 2 miliony najbardziej aktywnych zawodowo ludzi emigruje wtedy na Zachód. Z tych, co zostają, niektórzy się nie poddają, ale to znikoma mniejszość, a inni, tak jak Donald Tusk, dochodzą do smutnego wniosku, że „polskość to nienormalność”. Nic się z tym nie da zrobić, trzeba wreszcie skapitulować, przestać walczyć o tę „starą” polskość i jej istotę: niepodległość. Bo to nie przynosi żadnych korzyści „zwykłym ludziom”. To jest postawa zdrady motywowanej utratą wiary w wartość polskości. I ta postawa wraca.

Na szczęście w każdym z tych okresów, w każdym z tych momentów dziejowych, zwłaszcza w tym czasie opisywanym w VI tomie „Dziejów Polski”, byli ci, którzy się nie poddali. Byli ci, którzy w momencie beznadziejności wrócili do wiary w Rzeczpospolitą – tak jak konfederaci wierzbowski na Litwie, potem konfederaci tyшовiєccy, którzy razem zainicjowali pierwsze wielkie powstanie w obronie niepodległości – skuteczne! – w grudniu 1655 r., kiedy były tylko te cztery niezależne punkty na mapie. Oni nie złożyli broni, a chwycili za nią i po kilkunastu miesiącach wypędzili wroga ostatecznie prawie z całej Rzeczypospolitej. I o tym także musimy pamiętać. Szósty tom „Dziejów Polski” traktuje może przede wszystkim o przesłaniu nadziei. Skąd ją czerpać? Jak ją odzyskać?

Jedną z wielkich lekcji owego czasu jest to, że podstawą wiary w sens wspólnoty musi być sprawiedliwość. Jeśli sprawiedliwości brak – zanikają także więzi łączące wspólnotę. Żaden ze zdrajców – a byli wielcy zdrajcy, arcyzdrajcy jak przede wszystkim Hieronim Radziejowski, którzy nie mieli nic na swoje usprawiedliwienie – nie został ukarany po czasie „potopu”. Żaden. To deprymujące doświadczenie niesprawiedliwości stało się udziałem tysięcy ludzi, którzy ucierpieli w walce o wolną Polskę i Litwę, o Rzeczpospolitą, którzy trafili do niewoli moskiewskiej, kozackiej; tych, którzy zginęli i ich krewni mogli ich tylko wspominać. Wśród nich był wielki święty i wielki patriota, męczennik tamtych czasów Andrzej Bobola, o czym przypomina wydana niedawno w Białym Kraku książka autorstwa Czesława Ryszki.

To doświadczenie niesprawiedliwości, że zdrajcy wracają do wszystkich urzędów i łask i żaden nie jest ukarany, było jednym z głównych

motywów utraty wiary w Rzeczpospolitą, poczucia zniechęcenia, poczucia „nic z tym nie zrobimy”, czujemy się bezradni. Tak było również po targowicy w roku 1792–1793, symbolizującej samą istotę zdrady, konfederacji tych, którzy uznali, że lepiej być z carycą Katarzyną, występując nawet zbrojnie przeciwko własnemu społeczeństwu, a w ewidentnym interesie zaborców. Owo poczucie zniechęcenia osiągnęło apogeum w czasie ostatniego sejmiku Rzeczypospolitej, który miał miejsce w środku Rzeczypospolitej, w Grodnie. Tam zdrajcy, łajdacy, uchwalili najpierw zgodę na rozbiór rosyjski – entuzjastycznie, bez oporu. Trudniej było przełamać opory posłów na rozbiór pruski, ale ostatecznie zgodzili się i na to (pod wpływem perswazji i rubli z carskiej ambasady, pilnującej układu z sojusznikiem z Berlina), na likwidację własnego państwa.

Sejm grodzieński 1793 r. to był najsmutniejszy moment w całej naszej historii. Stąd wynikało poczucie bezsilności, które przyniosło jednak odreagowanie w postaci Insurekcji Kościuszkowskiej w 1794 r. W momencie bowiem, kiedy nie działa system „standardowej” sprawiedliwości w państwie, pozostaje tylko desperacka odpowiedź: sprawiedliwość ludowa. Na szubienicach w Wilnie i w Warszawie zawisli ci zdrajcy, których

Wkroczenie szwedzkich oddziałów oznaczało dla każdego polskiego miasta, wsi czy miasteczka doszczętne spłądowanie, podpalenie, a najczęściej także śmierć mieszkańców. Obraz Henryka Pillatiego. Fot. Wikimedia

zdołała osiągnąć gniewna ręka sprawiedliwości w Rzeczypospolitej.

Ludowa sprawiedliwość nie jest oczywiście dobra, ale staje się zrozumiała, gdy wyrasta z poczucia bezsilności, kiedy nie ma sprawiedliwości w oficjalnym wymiarze prawa. Tak wygląda *katharsis*, krwawe oczyszczenie. Wiemy, że Insurekcja Kościuszkowska przegrała i że nie szubienice są w jej dziejach najważniejsze. Najważniejsze było to, że wskazała na chłopstwo, na grupę społeczną najliczniejszą, na której można było oprzeć nadzieję na przyszłość, że tam przeniesie się centrum patriotyzmu. Chłopstwo stało się po raz pierwszy symboliczną siłą podczas insurekcji, siłą potwierdzoną choćby zwycięstwem pod Raclawicami. Mimo starań i nadziei Kościuszki i jego współpracowników trzeba było jeszcze 110 lat pracy organicznej pod zaborami i kolejnych powstań, żeby z chłopów stali się w pełni wolni ludzie.

Bez tego przesłania rzuconego w przyszłość przez rok 1794 – że warto być Polakiem, że być Polakiem to największy zaszczyt – nie odzyskalibyśmy niepodległości w roku 1918. Tyle że trzeba było tego uczyć przez 100 lat, trzeba było przekonywać własnym przykładem. Mam wrażenie, że właśnie ten aspekt nauczania o ważności polskości i naszej tradycji, to wszystko, o czym pisze prof. Wojciech





Zawiązanie się konfederacji tyszwowieckiej, która zapoczątkowała walkę z najazdem szwedzkim, według obrazu Walerego Eljasza-Radzikowskiego. Fot. Wikimedia

Roszkowski w dwóch tomach „Historii i terażniejszości”, próbował przypominać rząd Prawa i Sprawiedliwości. Nieco jednak późno i mało energicznie. Dopiero w ostatnich dwóch latach coś zaczęło się zmieniać w systemie edukacji. Tak jak wcześniej, podczas swojej pierwszej, można tak powiedzieć, kadencji w latach 2006–2007 Jarosław Kaczyński oddał ministerstwo edukacji w ręce Romana Giertycha, tak obecnie, w czasie sześciu z ośmiu lat władzy PiS równie ważne jak edukacja ministerstwo nauki i szkolnictwa wyższego oddał w ręce Jarosława Gowina.

Sutki tego są katastrofalne dla polskiej humanistyki. Lekceważenie nauki, lekceważenie edukacji, spóźniony refleks w tej dziedzinie, mści się równie mocno jak spóźniony refleks w dziedzinie podstawowej sprawiedliwości. Komisja w sprawie działalności pro-rsyjskiej, powołana na miesiąc czy dwa przed końcem drugiej kadencji rządów PiS-u, to jest kpina ze sprawiedliwości. Ta komisja powinna była powstać w pierwszym lub drugim miesiącu po objęciu władzy przez Prawo i Sprawiedliwość, a najpóźniej w momencie drugiej, wielkiej agresji Putina na Ukrainę w lutym

2022 roku, kiedy fatalne znaczenie strategicznego „partnerstwa” Tuska z Putinem, z lat 2017–2013, najtrudniej było zamazywać.

Tak, w takich zaniedbaniach właśnie rodzi się z jednej strony poczucie bezsilności, a z drugiej – poczucie bezkarności, niezwykle ważne dla rozwijania postawy zdrady. W takiej właśnie rzeczywistości budzimy się po 15 października 2023 r. Gdzie więc szukać źródeł nadziei? Źródłem najważniejszym jest wiara w Opatrzność i odwołanie się o pomoc do naszych wielkich patronów, świętych. Mamy jednak obowiązek wspierać tę wiarę naszymi czynami. Musimy nawiązywać do krzewienia nauki, którą zaniedbaliśmy w czasach, kiedy mając narzędzia oddaliśmy je w ręce ludzi, którzy chcieli wykorzystać je na szkodę Polski, albo tylko dla własnych, małych interesów, a nie dla jej dobra. Teraz musimy to robić tak, jak robiono to pod zaborami albo w czasie niemieckiej okupacji. I przypominam, że udało się to pod zaborami zrobić, udało się unarodowić, uczynić patriotów z chłopstwa, największej grupy społecznej.

Jakie teraz jest nasze zadanie? Badanie przeprowadzone przez Instytut Psychologii Polskiej Akademii Nauk na temat

stosunku do polskości wykazuje istnienie proporcjonalnie zdumiewająco licznej, stanowiącej 14 procent grupy, która nie chce Polski i się jej wstydy. To nie są mniejszości etniczne, bo takich prawie nie mamy, tylko ludzie tacy sami jak my, tylko wstydy się Polski. Ale też nie chcą znać jej kultury ani historii w myśl zasady „Dość tych Mickiewiczów, dość tych Sienkiewiczów”, jak powiedział samozwańczy rzecznik tej grupy, pewien przereklamowany aktor o mało polskim nazwisku Stuhr. Nawiasem mówiąc: jak się nie zna kultury i historii Polski, to jak można być jej zwolennikiem? Dlatego staje się zrozumiałe osłabianie naszej narodowej kultury oraz deprecjonowanie historii przez różne osoby i ośrodki, bowiem to prowadzi do tworzenia oraz poszerzania owej 14-procentowej grupy.

Tego rodzaju grupa nie jest jedyną ani najważniejszą, na którą należy zwrócić uwagę w przywołanym tu badaniu. Dwukrotnie liczniejsza grupa, którą autorzy badania określili jako „wycofanych pesymistów”, stanowi 28 proc. naszego dorosłego społeczeństwa. To są ci, którzy nie chcą żyć z życia publicznego, żyją z dnia na dzień, są zmęczeni, zagonieni, ledwo wiążąc koniec z końcem. Sama poprawa bytu materialnego nie uczyni z nich patriotów, bo choć czynnik materialny jest bardzo ważny, to jednak niewystarczający. W ciągu ośmiu lat rządów PiS-u, funkcjonowania jego ministerstw kultury i edukacji, nie dotarło do tej grupy z przekazem, że jeśli nawet trudno jest nam w życiu codziennym, to jego poprawa zależy od poprawy losu Polski, od jej suwerenności. Podkreślam – z tym przekazem do nich nie dotarło. A to już jest 14 proc. plus 28 proc. – bez tych głosów nie wygrałaby koalicja przejmująca teraz tak brutalnie władzę nad Polską. Zwycięska koalicja, która stworzyła obecny rząd, opiera się właśnie na tych głosach – na głosach tych, którzy wstydy się Polski i tych wtłoczonych w sytuację wycofanych pesymistów, którzy przeciwko dotychczasowej władzy zagłosowali na zasadzie protestu i pod wpływem mediów, kontrolowanych spoza Polski.

Naszym zadaniem jest zatem ponownie praca organiczna, jaką prowadzono w XIX w., ale oczywiście nowszymi środkami i metodami, by walczyć o tych ludzi, zwłaszcza z grupy „wycofanych pesymistów”. Nie wolno dopuścić, byśmy z czasem sami zostali zepchnięci do tej grupy. Żebyśmy nie stali się tymi, którzy pogodzą się z tym, że Polska to niestety *dochodiaga* [dogorywająca], mówiąc językiem łagrowym, i nic już jej nie pomoże, żyjmy więc z dnia na dzień, użyjmy swojego życia, nie wychylając się za bardzo. To jest właśnie mentalność wycofanych pesymistów, których masę nowa władza

na pewno będzie się starała powiększyć. Na to nie możemy się zgodzić i musimy pomyśleć o tych, którzy już są wycofanymi pesymistami. Nie możemy pozwolić, by nasze dzieci, wnuki, do takiej grupy kiedyś należały. Nie ma żadnych racjonalnych powodów, żeby tak było.

Warto w najbliższym czasie wykorzystać trzy rocznice jako punkty zaczepienia do pracy, którą musimy podjąć w nowych, dużo trudniejszych warunkach. Dwie z nich, dwa niezwykle jubileusze, stykają się w kwietniu roku 2025. Najpierw, 10 kwietnia, przypadnie 500. rocznica Hołdu Pruskiego, ważnego symbolu suwerenności Rzeczypospolitej i skonsumowania – choć niepełnego – wcześniejszego o 115 lat zwycięstwa pod Grunwaldem. Ten hołd powinien zostać przypomniany jako wielka chwila Rzeczypospolitej.

Z kolei 18 kwietnia 2025 r. powinniśmy obchodzić rocznicę jeszcze większą i bardziej znaczącą – tysiąclecia koronacji Bolesława Chrobrego, czyli zarazem ty-

siąclecia pełnej suwerenności Polski. Jeżeli o tych rocznicach zapomnimy – a trzeba do nich już się przygotowywać – jeśli zapomnimy, co one znaczą, a więc, że przypominają nam fundamentalne znaczenie suwerenności, czyli zdolności decydowania o samych sobie, to nie jesteśmy warci być Polakami. To będzie znaczyło, że ci, którzy chcą z nas uczynić wycofanych pesymistów, wygrali. Wierzę oczywiście, że tak się nie stanie. Wierzę, że owo wspomnienie historii wykorzystamy do tego, by już dziś odnaleźć sens oraz moc suwerenności.

Plany Brukseli i kontrolujących pochodzenia UE Berlina oraz Paryża, dwóch stolic starych imperializmów europejskich, podobnie Władimir Putin i wojna na Ukrainie, pomagają nam uświadomić sobie, czym będziemy bez suwerenności. W tym sensie historię polskiej zdrady można i trzeba odczytywać w kontekście wydarzeń współczesnych.

Natomiast już w tym roku powinniśmy skupić się na dniu 17 września. Przy-

padnie wtedy bowiem nie tylko 85. już rocznica sowieckiego najazdu na Polskę w 1939 r., o której oczywiście zawsze powinniśmy pamiętać. W tym dniu, 17 września 2024 r., przypadnie także niezwykle okrągły jubileusz 650-lecia wydania w 1374 r. przywileju koszyckiego, od którego zaczyna się wspólnota Rzeczypospolitej. Od 4 lat panował wówczas w Polsce Ludwik Węgierski, ale nie na zasadzie „pana urodzonego”, bo dynastia Piastów wygasła, tylko króla, który został dopuszczony do władzy na zasadzie umowy z poprzednim władcą, czyli ostatnim z Piastów królewskich – Kazimierzem Wielkim. Ludwik, chcąc utrzymać linię i panowanie swojego rodu w Polsce po swojej śmierci, musiał desygnować na tron jedną z trzech swoich córek, wnuczek siostry Kazimierza Wielkiego Elżbiety Łokietkówny. Prawdopodobnie 18 lutego 1374 r. urodziła mu się najmłodsza, Jadwiga, której 650. urodziny wypadają w tym roku. I właśnie wówczas władca wydał przywilej koszycki, który jest ro-

Polscy „jakobini” (hugoniści) preferowali drastyczne metody rozprawiania się ze zdrajcami, jednak Kościuszko się temu sprzeciwiał. Wieszanie zdrajców targowickich na Rynku Starego Miasta w Warszawie, 1794 r. Obraz Jeana Pierre’a Norblina. Fot. Wikimedia



dzajem umowy z obywatelami Rzeczypospolitej.

Przypomnę istotę tej umowy. Pierwszą kwestią była sprawa podatku, który był odtąd stały, płaski: dwa grosze od uprawnego łanu w majątku szlacheckim. Tylko tego podatku państwo (król) miało prawo oczekiwać od swoich obywateli, a jeśli będzie chciało zwiększyć podatek, albo uchwalić nadzwyczajny, musi prosić o zgodę poddanych. Na tym właśnie polega nasza rola dziedziców dobra, które tworzy Rzeczpospolitą. Ponieważ jesteśmy ludźmi wolnymi, możemy wyrazić zgodę na poniesienie dodatkowej ofiary finansowej na rzecz wzmocnienia tego dziedzictwa. Ale istotą naszej wolności jest to, że zależy to od nas, od nikogo innego, nikogo z zewnątrz, spoza naszej wspólnoty obywatelskiej.

Ten niski podatek, dwa grosze z łanu, łączy się jednocześnie z przypomnieniem warunku, na podstawie którego przywilej ten otrzymała cała szlachta, równo wszyscy obywatele. Warunkiem tym był obowiązkowy udział w obronie Rzeczypospolitej. Nienawidzisz Polski, wstydzisz się

jej, nie chcesz jej bronić – nie jesteś obywatelem, nie masz praw obywatelskich.

Taki był sens tamtego przywileju, oprócz jeszcze jednej kwestii, którą warto przypomnieć w kontekście dzisiejszych emocji związanych z rolą kobiet w naszym życiu społecznym i w historii. Akurat bowiem właśnie przywilej koszycki otwierał w Polsce drogę do władztwa kobietom, córkom Ludwika Węgierskiego, a ostatecznie utorował ją Jadwidze, wielkiej polskiej patronce, królowej i świętej, a potem następnym wielkim Polkom w naszej historii.

Przywilej koszycki sprzed 650 lat powinien być pamiętany, bo to wyjątkowy punkt w naszych dziejach. Od niego zaczyna się wspólnota współdziedziców i współdziedziczek (przypomnę jednak, że Jadwiga była dumna z tego, że nabrała jej się tytuł KRÓLA – a nie królowej Polski) tego wielkiego dobra, które tworzy Rzeczpospolita. Każdy może bronić tego dziedzictwa na swój sposób, ale jeżeli odruchem w stosunku do zagrożenia jest stwierdzenie „polskość to nienormalność” albo „uciekam od obowiązku, od

chodzę, bo mnie on nuży, męczy”, czy też odruch ucieczki, powszechny w 2014 r. wśród ówczasnie panujących w mediach „elit” w trakcie pierwszej fazy agresji na Ukrainę, to znaczy, że ktoś taki tego dziedzictwa nie broni. W ankietach przeprowadzanych wtedy, w 2014 r., wśród polityków, ci najważniejsi z rządzącej wówczas, i rządzącej też dziś, partii mówili, że w przypadku zagrożenia ze strony Rosjan, gdyby zbliżyli się do Polski, wyjadą jak najdalej... Inni budowałiby pewnie dla tych Rosjan bramy triumfalne, ale o tym nie opowiadali, chętniej mówili o ucieczce. Jeżeli ktoś wybiera odruch ucieczki, powinien być napiętnowany i zyskać właściwe miano, na które zasługuje: zdrajca.

W perspektywie wspaniałego dziejowego doświadczenia, które budowały pokolenia Polaków od 1374 r., ale przecież i wcześniej, być współdziedzicem Polski to największa godność, odpowiedzialność i największa przygoda, jaka w ziemskim życiu może nas spotkać.

Pruski książę Albrecht Hohenzollern składa hołd lenny królowi Zygmuntovi I Staremu na krakowskim Rynku 10 kwietnia 1525 r. – obraz Aleksandra Lessera. Fot. Wikimedia

